

LESZEK NOWAK

Odpowiedź Zdzisławowi Ziembie

I

1. Bywają polemiki o kwalifikację świata (jaki jest?) i o kwalifikację autora (kim jest?). Pierwsze kierowane są dążeniem do rozpoznania, jak właściwie jest, drugie dążeniem do oznajmienia, kim właściwie jest krytykowany: np. mętniakiem, metafizykiem, by nie wspomnieć o innych możliwościach, z pozoru odległych, ale wyrastających z tej samej postawy krytyka.

Piszę o tym, aby usprawiedliwić przed czytelnikiem charakter niniejszej repliki, gdzie właściwie nie ma prawie wcale rozważań merytorycznych w ścisłym sensie tego słowa. W innej sytuacji znajduje się bowiem autor, któremu zarzuca się, iż daje rozwiązania fałszywe, w innej zaś autor stawiany poza obrębem klanu wtajemniczonych. W wypadku krytyki pierwszego typu autor może sobie pozwolić na to, by zapomnieć o polemście i zająć się tym, jak jest w świecie: tak, jak zdawało się jemu, czy tak, jak zdaje się oponentowi. W wypadku krytyki drugiego typu autor o polemście zapomnieć nie może. Ma do wyboru: albo zaakceptować jego pryncypia i pokazywać, że zaszło nieporozumienie — bo on też, biedaczek, do klanu należy, albo też pryncypia zakwestionować pokazując, iż równoprawne są także inne, klan sam zaś nie jest ani jedyny, ani najlepszy.

Oczywiste jest chyba, iż na filozoficzne pryncypia Z. Ziembie zgodzić się nie mogę. Gdyby to było oczywiste także dla mego oponenta, mógłbym na tym właściwie wypowiedź zakończyć. Podejrzewam jednak — autor pozwoli tu na parafrazę jego kwiecistego stylu — iż Z. Ziembie jest tym filozofem, który nie domyśla się nawet, że zakłada jakąkolwiek filozofię. Pewnie — parafrazuję dalej — myśli o sobie, iż uprawia czystą naukę pozbawioną wszelkich założeń filozoficznych (w życzliwszej interpretacji: z wyjątkiem tych, co są „całkowicie naturalnymi” wymogami „metody naukowej”). Zasadniczym celem niniejszych uwag jest ujawnienie tych pryncypiów i pokazanie, że mają one

takie samo, ale też tylko takie samo, nie większe, prawo do bytu, co założenia o innych rodowodach teoretycznych. Potem przejdę do kwestii szczegółowych, z góry zaznaczając, iż na tym terenie zawdzięczam Z. Ziembie szereg wnikliwych i instruktywnych spostrzeżeń.

2. W sprawie formalnej. We wszelkich krytykach są pewne granice: wyznacza je rzetelność przedstawiania postaw autora krytykowanego.

A. Oto wypowiedź Z. Ziemy: „Książka *U podstaw marksistowskiej aksjologii* ma być próbą opracowania głównych zagadnień aksjologii marksistowskiej. Autor twierdzi we wstępie, że jest to próba ryzykowna, ponieważ nie istnieje w chwili obecnej jakiś jednolity system intuicji, który by wyróżniał marksistów wśród teoretyków wartości. L. Nowak traktuje więc swą pracę jako pionierską” (s. 269, spacja — L.N.)¹. A oto moja wypowiedź, do której Z. Ziemia się tu odwołuje: „Odpowiedzi na owe pytania (wymieniam je na s. 5 swej książki² — L.N.) składać się będą na to, co chciałbym określić jako próbę aksjologii marksistowskiej. Ryzykowna to bardzo supozycja wobec faktu, że nie istnieje w chwili obecnej jakiś jednolity system intuicji czy idei, który by wyróżniał marksistów wśród teoretyków wartości. System taki trzeba dopiero stworzyć. A na to nie ma innej rady, jak tylko podejmowanie możliwie wielu prób w nadziei, że przyszłość wybierze z nich tę, która najlepiej odpowiada marksistowskiemu «paradygmatowi» zdobywania wiedzy”³. Myślę, iż dla każdego, kto włada językiem polskim, jest wyraźne, iż prezentacja koncepcji pracy dokonana przez mego oponenta zniekształca intencję mej wypowiedzi. Nie mówiąc już o tym, że włożenie na takiej podstawie w usta autora wypowiedzi „moja praca jest pionierska” dowodzi albo tego, że polemista nie chwyta dodatniego sensu terminu „pionierska”, albo... Ale dajmy lepiej temu pokój. Cudza niecnota nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla własnej.

B. Polemizując z moimi uwagami krytycznymi o fenomenalizmie lingwistycznym Z. Ziemia stwierdza: „Konstruowanie pojęć aksjologicznych nie zniesie zadania polegającego na badaniu tekstów aksjologów i poddawania ich krytycznej analizie. A śledzenie, jak ludzie — niekoniernie aksjologowie — używają takich słów, jak «ocena», «wartość», «konflikt wartości» itp. jest również pouczające i nie ma powodu z niego rezygnować. Żadne porównanie z fizyką nie pozbawi takich badań ich walorów” (s. 284). Wygląda więc na to, iż podpisany odmawia badaniom

¹ Liczby w nawiasach odnoszą się do tekstu Z. Ziemy, *Wartości podmiotu społecznego*, niniejszy tom.

² L. Nowak, *U podstaw marksistowskiej aksjologii*, Warszawa 1974, s. 5.

³ *Ibid.*, s. 5/6 (spacja dodana — L.N.).

lingwistycznym walorów wszelkich. Oto jednak odnośny passus z mojej pracy: „dla marksisty, jak sądzę, rzecz nie polega na tym, by stopniowo «liberalizować» wymogi fenomenalizmu lingwistycznego, lecz na tym, by radykalnie zerwać z tego rodzaju postawą myślową. Może on, oczywiście, wykorzystywać rozmaite wnikliwe nieraz spostrzeżenia «analityków», lecz nie jako punkt wyjścia, lecz jako punkt dojścia teorii, którą winien zbudować; jako rejestrację zjawisk, które domagają się wyjaśnienia, a nie jako cel działalności teoretycznej”⁴. Widać chyba, iż sprzeciwiam się nie badaniu sensu słów aksjologicznych, lecz mniemaniu, iż czyniąc to robi się teorię aksjologiczną. Moim zdaniem, czyniąc to zbiera się co najwyżej materiał do wyjaśnienia przez taką teorię.

C. Z. Ziemia o mojej książce: w *Zakończeniu* autor „uznał «fenomenalizm lingwistyczny» za niezgodny z założeniami metodologii marksistowskiej (z a p e w n e tej, którą wypracował L. Nowak)” (s. 285, spacja — L.N.). Oto treść odpowiedniego fragmentu z *Zakończenia*: „Wydaje mi się, że fenomenalizm lingwistyczny wyrażający się w przedstawionym wyżej programie uprawiania aksjologii jest wyraźnie niezgodny z założeniami metodologii marksistowskiej, interpretowanej tak, jak to niżej podpisany usiłuje czynić”⁵

D. „Wiem, że ile razy L. Nowak zostanie skrytykowany, uważa, że całą winę ponosi recenzent, którego ułomna umysłowość nie potrafi wykryć tego, co autor miał na myśli. Ja natomiast pytam, dlaczego autor nie pisze tak, aby być zrozumiałym nie tylko dla siebie” (s. 270). Zaciekawia mnie baza empiryczna dla tego przeświadczenia (bo chyba nie jest to konwencja opierająca swą prawdziwość na sensie terminu „L. Nowak”?). Po krótkim rozpatrzeniu swego życiorysu i stwierdzeniu, iż w ostatnich latach ośmiu Z. Ziemia nie przysłuchiwał się żadnej z dyskusji nad jakimkolwiek moim referatem, dochodzę do wniosku, iż jedynym fundamentem empirycznym, na jakim przekonanie to może być oparte, jest lektura polemik, jakie obficie prowadzę na piśmie. Otwieram więc swą replikę na polemikę prof. J. Kotarbińskiej i stwierdzam, iż z dziewięciu odpowiedzi jedna tylko odwołuje się do argumentu, iż wystąpiło nieporozumienie terminologiczne (termin „prawo faktywne” został rozumiany jako równoznaczny z terminem „generalizacja fenomenalistyczna”)⁶. Już to wystarczy, aby sfalsyfikować to, co mój oponent „wie” na temat moich polemik. Ale szukajmy dalej — może stanowcze przeświadczenie Z. Ziemy da się utrzymać choćby jako „generalizacja statystyczna”. Oto w replikach prof. M. Przełęckiemu⁷, doc. A. Siemia-

⁴ Ibid., s. 124.

⁵ Ibid., s. 122 (spacja dodana — L.N.).

⁶ L. Nowak, *Odpowiedź*, w: J. Kmita (red.), *Metodologiczne implikacje epistemologii marksistowskiej*, Warszawa 1974, s. 222—230, 231—235, 237—240.

⁷ Ibid., s. 238—239.

nowskiemu⁸, dr T. Mrówczyńskiemu⁹ i in. zarzut, iż źle zinterpretowali moje propozycje nie pojawia się wcale. W replice doc. T. Batogowi pojawia się on dwukrotnie na dwadzieścia odpowiedzi memu oponentowi¹⁰. Pytam więc — by użyć ulubionego zwrotu retorycznego mego przeciwnika — jaka jest podstawa do wygłaszania tego rodzaju twierdzeń?

Z drugiej wszakże strony Z. Ziemba jest zapewne człowiekiem odpowiedzialnym za słowo. Musi więc mieć jakąś ewidencję empiryczną za tezę, jaką sformułował. Zinterpretujmy go życzliwie: zaperzył się i stąd duży kwantyfikator. Może jednak wystarczy kwantyfikator ów ograniczyć do jakiegoś zakresu — tam, gdzie moje kontrargumenty: „wystąpiło nieporozumienie” pojawiają się dość często. I znajduję, sądzę, ten zakres. Najzręczniejsz scharakteryzować go przez enumerację: dr T. Mendelski, doc. J. Semkow, prof. S. Żurawicki i inni.

II

1. O roli definicji. Oto opinia Z. Ziembę: „L. Nowak wprowadził mnóstwo wymyślonych przez siebie pojęć aksjologicznych”, natomiast podał za mało twierdzeń (s. 285); „Jest w niej (mowa o krytykowanej książce — L.N.) multum definicji projektujących, a stosunkowo mało twierdzeń” (s. 288). Otóż warto zdać sobie sprawę z tego, że opinia ta oparta jest na pewnej koncepcji metodologicznej dotyczącej tego, jaką rolę pełnią definicje w nauce. Ujmijmy tę koncepcję w postaci skrótowego założenia:

(I) definicje nie twierdzą nic o rzeczywistości badanej, lecz wprowadzają do języka nauki nowe wyrażenia.

W związku z tym za fundamentalny podział definicji uchodzi ich podział na sprawozdawcze i projektujące — skoro definicje mają tylko wprowadzać nowe wyrażenia, to jasne, iż rzeczą ważną jest, przy założeniu (I), czy jest to wyrażenie nowe, czy stare, a jeśli stare, to czy nadaje mu się sens znany, czy nie.

Można by wiele mówić przeciwko założeniu (I), wszakże nie miejsce tu ani czas po temu. To, na co chciałbym jedynie zwrócić uwagę, jest rzeczą trywialną: że założenie (I) nie wyraża jedyne go możliwego sposobu ujmowania roli definicji. Nie logika tezę (I) wysuwa, lecz określony kierunek filozoficzny, który z przeciwstawienia między empirią a konwencją uczynił swą podstawę wyjściową. Czego najlepszym dowodem jest to, iż inne kierunki filozoficzne upatrują w definicjach np. twier-

⁸ L. Nowak, *Problemy metody idealizacji*, „Studia Filozoficzne” 1974, nr 4, s. 153—155.

⁹ Ibid., s. 164—166.

¹⁰ L. Nowak, *O dalszych problemach metody idealizacji*, „Studia Filozoficzne” 1974, nr 9.

dzenia mówiące o istocie zjawisk badanych. Nie chciałbym w tym miejscu prowadzić dyskusji na temat trafności tych dwóch koncepcji definicji: może być tak, iż prawdziwa jest koncepcja (I), a może tak nie być. To, co tutaj ważne, sprowadza się do dwóch spostrzeżeń: że argumentacja Z. Ziembę zakłada koncepcję (I) i że ja zakładam koncepcję odmienną¹¹. Dla każdego zaś, kto odrzuca myśl, iż wprowadzający pojęcie dba tylko o to, by porównywać je z pojęciami już wprowadzonymi, argumentacja Z. Ziembę traci walor: praca składać się może z samych definicji i mówić o zjawiskach badanych (na gruncie pewnych założeń dodatkowych: mówić rzeczy najważniejsze, bo zmierzające — trafnie albo nie — do odtworzenia ich istoty).

Skądinąd zaś, nawet przyjmując założenie (I), stwierdzić można, iż Z. Ziembę nie mówi prawdy. Oto zasadnicze hipotezy książki nie zauważone przez polemistę: (1) wartość i wielkość mają analogiczną strukturę, (2) analogiczną budowę mają też struktura aksjologiczna i struktura esencjalna, (3) zasadniczy rodzaj ocen, jakim są standardy ocenne, jest zbudowany tak samo, jak zasadniczy rodzaj twierdzeń naukowych, jakimi są prawa nauki, (4) wartościowanie przebiega wedle tego samego schematu, co wyjaśnianie naukowe, (5) struktura systemu aksjologicznego jest identyczna ze strukturą teorii naukowej, (6) struktura orientacji aksjologicznej jest taka sama, jak struktura orientacji teoretycznej w nauce, (7) rozwój orientacji aksjologicznej podlega tej samej prawidłowości rozwojowej, co rozwój orientacji teoretycznej w nauce. Można na temat tych hipotez powiedzieć wszystko: że są fałszywe, nieintuicyjne czy jak tam kto lubi. Nie można jednak powiedzieć jednego: że ich nie ma¹². Nie zamierzam też dać się wciągnąć na płaszczyznę sporu wytyczoną przez mego polemistę i liczyć pozostałe hipotezy wysunięte w pracy. Hipotez naukowych nie mierzy się bowiem na sztuki, lecz na wagę. Tę zaś określa się przez doniosłość pytań, na które odpowiadają. Niech nikt mi nie wmawia, iż hipotezy (1) — (7) nie są, prawdziwymi czy fałszywymi — to sprawa do rzeczowej dyskusji, odpowiedziami na doniosłe dla aksjologii problemy.

2. O idealnym podmiocie społecznym. Z. Ziembę stwierdza w komentarzu do wprowadzonego w dyskutowanej pracy pojęcia idealnego podmiotu społecznego: „skoro pewne grupy społeczne, np. kapitaliści, utrzymują swoje miejsce w strukturze społecznej, do czego niezbędne jest żywienie określonych preferencji, to widocznie kapitaliści

¹¹ O roli definicji pisałem w pracach: *Zasady marksistowskiej filozofii nauki. Próba systematycznej rekonstrukcji*, Warszawa 1974, s. 78—79, recenzja z A. Ujomowa, *Logiczeskije osnovy mietoda modielirowanija*, „Zagadnienia Naukoznawstwa” 1974, nr 2, s. 319—321.

¹² Podkreślałem we *Wstępie* i w *Zakończeniu* omawianej książki, iż są to tezy dla niej najważniejsze.

faktycznie żywią te preferencje. Nie ma potrzeby zatem mówić o preferencjach idealnego podmiotu społecznego, należy zająć się empirycznymi kapitalistami i faktycznie żywionymi przez nich preferencjami" (s. 270—271). Rozumowanie to można byłoby powtórzyć w wywodzie następującym: skoro pewne gatunki biologiczne utrzymują się w danym środowisku, do czego niezbędne jest przekazywanie dziedziczne cech korzystnych, to widocznie faktycznie cechy te przekazują; nie ma potrzeby zatem mówić o dziedziczeniu gatunku idealnego, należy zająć się empirycznymi gatunkami i faktycznym przebiegiem ich dziedziczenia. Albo też: skoro faktycznie ciała oddziałują na siebie grawitacyjnie, to nie ma potrzeby mówić o grawitacyjnym oddziaływaniu punktów materialnych, należy zająć się empirycznymi obiektami i ich grawitacyjnym oddziaływaniem. Itd. itp. Tymczasem biologowie mówiąc o podstawowym prawie Hardy'ego-Weinberga ustalającym równowagę genetyczną w obrębie gatunku odnoszą to do gatunku idealnego, w którym nie ma mutacji, migracji ani selekcji¹³. To samo fizycy, ekonomiści itd. Czynią to, bo rozumieją (w praktyce, niekoniecznie muszą to sobie uświadamiać), że fałszywe jest założenie:

(II) aby wyjaśniać zjawiska empiryczne, wystarczy stosować twierdzenia faktualne

któremu, jeśli nie jestem w błędzie, hołduje Z. Ziemia. Podpisany tymczasem odrzuca założenie (II) na rzecz idealizacyjnej koncepcji nauki, czyniącej zrozumiałymi procedury biologa czy fizyka, jak i aksjologa, który nieśmiało próbuje robić to samo: rozumiejąc, iż na świadomość np. klasy składa się zarówno ten system idei, który odpowiada (adaptacyjnie¹⁴) jej miejscu w strukturze klasowej, jak i idee przekazywane tradycją, przypadkowe itd., uwzględnia tylko ów system idei pomijając idee pozostałe jako uboczne i konstruuje w ten sposób pojęcie świadomości klasowej przypisywane idealnemu podmiotowi tej klasy. Ów idealny podmiot klasy pełni zatem taką samą rolę, jak gatunek idealny czy punkt materialny: ma tylko własności główne spośród tych, jakie przysługują empirycznym podmiotom-członkom klasy.

Dla kogoś, kto odrzuca więc założenie (II), wprowadzenie pojęcia idealnego podmiotu społecznego (np. właśnie idealnego podmiotu klasy) jest zabiegiem równie naturalnym i nieodzownym, jak dla zwolennika tezy (II) opisywanie, czego tam empiryczni ludzie po kolei chcą. I znowu nie chciałbym prowadzić tutaj dyskusji nad prawdziwością tezy (II) poprzestając na spostrzeżeniu, iż Z. Ziemia ją zakłada, a ja odrzucam.

¹³ K. Łastowski, *Adaptation and Idealization in Biology*, „Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences”, vol. I, no. 4, 1975.

¹⁴ L. Nowak, *Teoria formacji społecznej jako teoria adaptacyjna*, „Studia Socjologiczne” 1973, nr 4.

Nie dziwota, iż jego oczekiwania co do tego, jak robić aksjologię, nie zostały w mej pracy zrealizowane.

3. O miejscu aksjologii w nauce. Powyższy wywód mógłby jednak mój oponent zakwestionować powtarzając, co rzekł był już w swej polemice: „Aksjologia to nie fizyka” (s. 284). U podstaw tego przeświadczenia leży zapewne założenie

(III) aksjologia (teoria wartości i wartościowania) różni się od nauk przyrodniczych zasadniczymi procedurami poznawczymi¹⁵.

I to założenie jest do zakwestionowania i faktycznie jest kwestionowane. Wydaje mi się, iż nauka (a w każdym razie nauki empiryczne) jest jedna — jej istota, określona zasadniczymi procedurami badawczymi, jest ta sama; różne są jedynie w różnych działach nauki okoliczności uboczne powodujące, iż te same procedury zasadnicze są w różnym stopniu realizowane czy uwikłane w kontekst procedur swoistych dla danej grupy dyscyplin¹⁶.

I znowu nie zamierzam bynajmniej mego oponenta przekonywać, by zrezygnował z założenia (III) na rzecz założenia o jedności nauki, porzeczając na konstatacji tego prostego faktu, że niezmiernie wiele musi dzielić ludzi, z których jeden nastawia się na poszukiwanie osobliwości badania aksjologicznego, a drugi na pokazywanie, iż osobliwości te są pozorne.

4. O preferencjach podmiotu społecznego. Z. Ziemia parokrotnie stwierdza, iż w pracy mojej nie jest „wyjaśniona sprawa istnienia relacji preferencji podmiotu społecznego” (s. 271). Aby zarzut ten wyjaśnić, odwołajmy się może do pewnej analogii. Wyobraźmy sobie, iż substancjalista (reista) wymaga od ewentysty, aby skonstruował kategorię zdarzeń. Ewentysta uczynić tego, rzecz jasna, nie jest w stanie, bo właśnie kategorię zdarzeń zakłada, aby przy jej pomocy wprowadzać dalsze (np. identyfikować rzeczy z „paczkami” zdarzeń). Kontynuować spór może w sposób nierzetelny — wymagając od substancjalisty, by skonstruował kategorię rzeczy, czego ten znowu jako żywo nie jest zdolny uczynić, bo po to przecież istnienie rzeczy zakłada, aby poradzić sobie z innymi kategoriami (np. traktując zdarzenia jako pary kolejnych stanów

¹⁵ Poglądy tego co ten rodzaju dyskutowałem w książce *U podstaw...*, op. cit., rozdz. VIII § 1.

¹⁶ Dodam przy tej okazji, iż argumentacja autora przeciwko tezie, iż wartościując nie abstrahuje się od wartości (kryteriów) pobocznych, nie przekonuje mnie. Sam fakt, iż używa się trybu kontrfaktycznego („gdyby nie to, że x patrzy na człowieka, jak na przedmiot, poszedłbym się leczyć do niego, ale tak, to pójdę do y -ka, choć mniej zdolny”) w wartościowaniach jest wskaźnikiem, iż tak się właśnie czyni. Nie mówiąc już o przypadkach wartościowania w nauce, gdzie wyraźnie ustala się najpierw zasadnicze kryterium wartościujące, a potem modyfikuje się je ze względu na kryteria dodatkowe (np. kryterium zasadnicze dla lokalizacji zakładu — bliskość do źródeł surowcowych, kryteria uboczne — łatwość uzyskania siły roboczej, rozwinięta infrastruktura itp.).

tej samej rzeczy). Może jednak kontynuować spór nie rewanżując się żądaniem, które z zasady są nie do spełnienia na gruncie założeń substancjalisty — może zaproponować, by każdy wychodząc z własnych założeń starał się pokazać, iż wyjaśni więcej z tej ontologii, jaka jest np. w nauce zakładana.

Na gruncie teorii społeczeństwa, którą zakładam, jedno jest — mimo całej niejasności i niedoskonałości warsztatowej obecnej postaci tej teorii — rzeczą względnie pewną: to, iż „baza”, „nadbudowa”, „świadomość społeczna” istnieją w ontologii przez tę teorię założonej na prawach równych z działaniami czy świadomością poszczególnych jednostek. Jeśli dobrze tę teorię interpretuję, to nie trzeba tam konstruować np. świadomości społecznej jako tego, co się powtarza w świadomości indywidualów poszczególnych; świadomość społeczna jest idealizacją, a nie generalizacją tych ostatnich¹⁷. Na gruncie takich założeń jest właśnie naturalne przypisanie idealnemu podmiotowi społecznemu preferencji (podobnie, jak w teorii Chomskiego jest czymś całkiem naturalnym przypisanie zdolności operowania regułami gramatycznymi idealnemu mówcy-odbiorcy), choć jest to, rzecz jasna, akt nienaturalny na gruncie założenia, które przypuszczalnie przyjmuje Z. Ziemia:

(IV) preferencje wolno przypisywać tylko empirycznym jednostkom ludzkim.

Założenie (IV) to pogląd indywidualizmu aksjologicznego, o którym pisałem w omawianej książce. Na gruncie takiego stanowiska rzeczywiście powstaje problem, o czym zresztą też wspominałem¹⁸, jak z preferencji indywidualnych skonstruować społeczne. Podobnie, jak dla reisty, ale nie dla ewentysty, problemem jest, jak skonstruować zdarzenia z rzeczy, a dla ewentysty, ale nie dla reisty, problemem jest konstrukcja rzeczy ze zdarzeń. Skoro zaś odrzucam założenie (IV), to widać stąd, iż problem Z. Ziembki dla mnie nie powstaje. Dla mnie powstaje problem przeciwny: jakimi dewiacjami od preferencji podmiotu społecznego charakteryzują się preferencje jednostkowe.

Nie dziwota, że skoro Z. Ziemia nie zrozumiał tego, iż wychodzi z odmiennych założeń wyjściowych dotyczących pojmowania świadomości społecznej (w szczególności — preferencji społecznej), to niezrozumiałych wydało mu się szereg spraw dalszych. Tak np. parokrotnie w różnych kontekstach wraca do pytania: „w jaki sposób zbiorowi działań, które w skali masowej są niezbędne do tego, aby dana grupa społeczna utrzymała swe dotychczasowe miejsce w strukturze społecznej, może odpowiadać relacja preferencji?” (s. 271). Otóż w sposób bardzo pro-

¹⁷ Analogiczne ujęcie tej relacji przedstawiają J. Kmita, W. Ławniczak, *Markszizm a empiryzm*, „Studia Filozoficzne” 1974, nr 10, s. 15—16.

¹⁸ L. Nowak, *U podstaw...*, op. cit., s. 12.

sty: ludzie preferują pewne stany rzeczy i podejmują, zgodnie z założeniem o racjonalności, te działania, które mają, wedle ich wiedzy, doprowadzić do stanów rzeczy najwyższej cenionych; ci, których preferencje odpowiadają preferencji idealnego podmiotu społecznego działają skutecznie, inni wypadają z gry (np. kapitalista, który by nie chciał maksymalizować zysku, szybko by zbankrutował i przestał być kapitalistą). Wydawało mi się to dosyć oczywiste. Natomiast Z. Ziemia z czasem powtarzanie pytania zastąpił supozycją dokładnie odwrotną — że to nie preferencja (wraz z wiedzą i na gruncie założenia o racjonalności) wyznacza działania, lecz działania wyznaczają preferencję. Na tej zaś, rzeczywiście dziwnej, supozycji oparł szereg zarzutów dotyczących niejasności pojęcia podmiotu społecznego.

Być może sprawa została zawiniona także przeze mnie, bo nie opisałem od razu koncepcji działania racjonalnego J. Kmity, jaką zakładam (mowa o tym była dopiero w rozdz. V¹⁹). Jest to więc, jak widać, wada kompozycyjna książki, skoro nie można liczyć na to, by czytelnik interpretował książkę na gruncie kontekstu teoretycznego, w jakim powstała. Prac zakładających koncepcję działania racjonalnego J. Kmity jest już kilkadziesiąt, wydawać więc by się mogło, że kiedy w kolejnej pracy mówi się o działaniach, to nie idzie o potoczne rozumienie tego terminu, lecz o koncepcję działań, do której należy m. in. teza, iż działania ludzkie są racjonalne, a więc określone przez wiedzę i preferencje porządkujące stany rzeczy przez wiedzę tę przewidywane (a więc ani nie są to skutki działań, ani „stany rzeczy polegające na realizacji tych działań” — a taką tylko alternatywę widzi dla mnie mój oponent — s. 271).

5. O stosunku teorii i empirii w aksjologii. Znaczna część zarzutów Z. Ziemiaby dotyczy tego, iż podawane przeze mnie przykłady wartości mają nie podpadać pod wprowadzone pojęcie wartości; niekiedy z powodu trudności w określeniu, czym takie wartości są, niekiedy zaś z powodu owej relatywizacji do podmiotu społecznego, o której już wspominałem.

Istnieje bardzo prosty sposób obrony przed tym zarzutem — przez odwołanie się do socjologii, którą zakładam (o czym pisałem w książce²⁰) tak, jak np. emotywista zakłada określoną koncepcję psychologii. Zawsze jest tak, że jeżeli jakaś koncepcja z danej dziedziny wiedzy zakłada pewną teorię z dziedziny drugiej, to losy pierwszej zależą od losów drugiej (np. emotywizm straciłby rację bytu, gdyby — zgodnie z przewidywaniami redukcjonistów — okazało się, iż „zjawiska psychiczne” są tylko stanami układu nerwowego). Trudności wskazywane przez

¹⁹ Są tam zresztą pewne modyfikacje szczegółów tej koncepcji — por. *ibid.*, s. 65, przypis 2.

²⁰ *Ibid.*, s. 10.

meo oponenta nie są więc, sędzę, trudnościami definicji wartości, jak to przedstawia, lecz trudnościami teorii społecznej, jaką zakładam. Są to przy tym trudności rzeczywiste — wynikają one stąd, iż niekiedy istotnie nie wiadomo, jakiej kategorii ludzi przypisać można akceptację określonej wartości, przy czym idzie tu o kategorię pochodną w stosunku do klasy; idzie więc o to, by wychodząc z założenia o determinującym charakterze podziału klasowego pokazać, jak podział ten „wymusza” wyznawanie określonych typów wartości (np. religijnych).

Ponieważ jednak próbuję także zajmować się rekonstrukcją materializmu historycznego, przeto już choćby z tego powodu nie chciałbym zastosować „chwytu kolega” i spróbuję, odwołując się do swego artykułu o strukturze teorii klas, krótko wyjaśnić, jak można byłoby sobie wyobrazić robotę teoretyczną, o jakiej mowa. Otóż w pracy tej próbowałem pokazywać, że marksowska teoria klas oparta jest na ponad dwudziestu założeniach idealizujących. Wymienię tu następujące:

- (a) przedsiębiorcy przemysłowi sami prowadzą sprzedaż swych towarów,
- (b) przedsiębiorcy przemysłowi nie korzystają z pożyczek operując wyłącznie własnym kapitałem,
- (c) nie istnieje gospodarka drobnotowarowa,
- (e) wszystkie kategorie społeczne pozbawione są politycznych przedstawicieli,
- (e) wszystkie kategorie społeczne pozbawione są teoretycznych przedstawicieli²¹.

Otóż w modelu najbardziej abstrakcyjnym istnieją tylko dwie klasy podstawowe: kapitaliści przemysłowi i robotnicy przemysłowi. Preferencją pierwszych jest maksymalizacja zysku, drugich — płacy roboczej. (Nie trzeba dodawać, iż są to preferencje idealnego kapitalisty i idealnego robotnika, do których preferencje jednostek empirycznych się zbliżają — kto zaś radykalnie odstaje, przestaje być kapitalistą czy robotnikiem.) W takim wyidealizowanym społeczeństwie kapitalistycznym występują więc tylko wartości produkcyjno-ekonomiczne dominujące w empirycznych społeczeństwach tego rodzaju. Po uchyleniu założenia (a) Marks wprowadza, jak staram się pokazywać w cytowanym artykule, nowe kategorie społeczne: kapitalistów handlowych i robotników handlowych. Preferencją pierwszych jest maksymalizacja marży handlowej, drugich, jak poprzednio — płacy roboczej (uzyskiwanej tym razem od kupca). Do owego bardziej realistycznego modelu zostaje więc wprowadzona nowa wartość (definiowalna za pomocą nowej preferencji handlowo-ekonomicznej natury). Po zniesieniu założenia (c) wprowadzona zo-

²¹ L. Nowak, *Marksowski model struktury klasowej społeczeństwa kapitalistycznego*, „Studia Socjologiczne” 1972, nr 2, s. 5 i n., 12 i n.

staje kategoria finansistów i „robotników bankowych”. Pierwsi maksymalizują procent, drudzy — płacę (pobieraną od zatrudniających ich kapitalistów bankowych). Mamy tu więc nową wartość ekonomiczną: gromadzenie kapitału pieniężnego, przypisaną kategorii finansistów (składną owe różne kategorie kapitalistów nie są rozłączne w empirycznym świecie). Tak więc, jak widać, wzrastającej w wyniku uchylania przyjętych uproszczeń liczbie kategorii społecznych²² odpowiadają nowe preferencje motywujące działania, w wyniku których członkowie tych kategorii adaptują się do układu podstawowego z modelu wyjściowego, a w rezultacie — na gruncie przyjętej w dyskutowanej książce definicji wartości — wzrasta liczba wartości, jakie można przyporządkowywać owym kategoriom. Na razie mamy tylko do czynienia z wartościami ekonomicznymi związanymi z kapitalistycznym sposobem produkcji. Po uchyleniu warunku (d) doszłyby wartości związane z wcześniejszymi formami gospodarowania, po zniesieniu zaś dalszych warunków wartością stałaby się np. władza polityczna (dla politycznych reprezentantów klasy, a pośrednio — dla jej członków) czy wiedza naukowa.

Nie taję, iż wielu rzeczy tu nie wiadomo — np. należałoby określić związki łączące wartości z danego modelu z wartościami wprowadzanymi w modelu bardziej realistycznym. Być może byłyby to związki typu podrzędności instrumentalnej. Gdyby tak było, wówczas koncepcja taka narażona byłaby na zarzuty związane z nieinstrumentalnym traktowaniem np. wartości politycznych. Przede wszystkim zaś nie wiadomo, czy postępując tak dalej uzyskaloby się tak daleko idące zróżnicowanie struktury społecznej, by umożliwić przypisanie odpowiednim kategoriom wszystkich wartości, jakie w empirycznym społeczeństwie kapitalistycznym występują. Czy np. można byłoby iść tak daleko, aby wyróżnić specyficzne „światki artystyczne”, którym można byłoby przyporządkowywać awangardowe wartości estetyczne? Nie wiem. Rekonstrukcja teorii klas jest stale zadaniem do wykonania, a ponadto trzeba byłoby teorię tę nie tylko rekonstruować, ale i korygować wedle zasady dialektycznej korespondencji, a więc — wydobywać nowe założenia idealizujące i zarazem je znosić korygując uprzednie ustalenia²³. Jedno jest tylko wiadome: jeśli teoria społeczna, którą zakładam, jest względnie prawdziwa (tj. chwyta rzeczywiste czynniki główne społeczeństwa klasowego)²⁴, to da sobie — przy dostatecznym wysubtelnieniu — z tym radę. Jeśli nie da, będzie to argumentem przeciwko niej. Na razie za wcześnie o tym wyrokować, skoro teoretycy materializmu

²² Dokładniej — *ibid.*

²³ *Ibid.*, s. 43.

²⁴ Szersze wyjaśnienia pojęcia prawdy względnej por. L. Nowak, *Prawda względna, zasada korespondencji, prawda absolutna*, w: W. Krajewski (red.), *Zasada korespondencji w fizyce a rozwój nauki*, Warszawa 1974, s. 155—156.

historycznego stale Marksa cytują miast rekonstruować i stale naśladowują jego rozwiązanie, miast je korygować.

Ale to są inne sprawy. Co się zaś tyczy Z. Ziembę, to stwierdzę tylko, że jeśli próba taka się nie powiedzie, to będzie miał rację powiadając, iż np. świętość nie jest wartością w proponowanym przeze mnie rozumieniu (ale nie dlatego, że definicja wartości jest niedobra, tylko dlatego, że teoria społeczna przez tę definicję założona jest nietrafna). Oszczędzę tutaj czytelnikowi komentarza do chichotów, jakie przy tej okazji mój polemista z siebie wydaje.

Skądinąd zaskakujące dla mnie jest, z jak daleko posuniętym rygoryzmem mój oponent wymaga dokładności podawanych przykładów. Zapewne zakłada, że

(V) fakty empiryczne (np. przykłady w pracy filozoficznej) mogą albo podpadać pod schematy ogólne, albo nie.

Myślę zresztą, że założenie to jest konsekwencją założenia (II). W rzeczy samej: kto rozumie, że zjawiska podlegają nie tylko działaniu okoliczności głównych, ale także ubocznych i to różnych w odmiennych sytuacjach, ten wie, iż fakty empiryczne zawsze tylko w mniejszym lub większym stopniu odpowiadają twierdzeniom idealizacyjnym (ściślej — spełniają aproksymacje tych tez o mniejszym czy większym progu tolerancji). Najlepiej jest to widoczne w naukach stosujących pomiar — tam każde zakłócenie ze strony dodatkowego czynnika uwyrażnia się ilościowo. Gdzie indziej nie ma możliwości wyraźnego stwierdzenia tego, co nie znaczy, że nie ma tam stopniowalnego przybliżenia faktów do teorii (Anglia ściślej potwierdzała teorię Marksa niż Niemcy w jego czasach, choć trudno byłoby ująć to „pomiarowo”). Słowem, na gruncie moich założeń teza (V) jest fałszem. Dodać warto, że kiedy Z. Ziemia występuje jako badacz, a nie jako filozof (a może po prostu jako autor, a nie jako krytyk?), to także uznaje tezę (V) za fałszywą: „Deontyczne pojęcie obowiązku, zakazu czy dozwoleń jest przybliżeniem odpowiednich pojęć z języka potocznego. A ponieważ ten ostatni jest nieprecyzyjny, każda precyzacja pojęcia zaczerpniętego z języka naturalnego musi prowadzić do utworzenia pojęcia, które nie jest identyczne z precyzowanym”²⁵. Szkoda, że autor nie pamiętał o tym, kiedy krytykował moje przykłady. Szkoda, że nie powiedział nawet tyle, iż pewne lepiej (np. zysk), a inne gorzej (np. świętość) pasują do podawanych określeń ogólnych — mam nadzieję, iż lepiej jest teraz widoczne, z czym jest to związane.

6. O stosunku aksjologii do etyki i estetyki. Praca moja, jak widać z wyliczonych na samym jej wstępie zagadnień, któ-

²⁵ Z. Ziemia, *Logika deontyczna* (tekst powielony), Warszawa 1974, s. 91 (spacja — L.N.).

rych dotyczy, należy do aksjologii, czyli ogólnej teorii wartości i wartościowania. Nie podejmuje się w niej zatem problemu osobliwości wartości etycznych czy estetycznych nie mówiąc już o analizie konkretnych wartości tego rodzaju. Autor tymczasem niekiedy tego właśnie wymaga: wymaga merytorycznej charakterystyki określonych wartości (czy merytorycznego określenia preferencji danego rodzaju wyznaczającej daną wartość). Otóż konstrukcja wartości, jaką przeprowadziłem, nakłada tylko warunki formalne, a nie merytoryczne na pojęcie wartości (pominąwszy sprawę relatywizacji do podmiotu społecznego, o której była mowa). W związku z tym jest rzeczą obojętną, czy relacja preferencji konstytuująca wartość prawdomówności jest określona jako relacja „podmiot wyżej ceni osoby, które częściej wypowiadają opinie zgodne z ich przeświadczeniami niż osoby, które czynią to rzadziej”, czy też jako relacja odmiennej natury, byle tylko spełniała postulowane warunki. To, czy tę właśnie relację uznać za konstytuującą wartość prawdomówności, czy jakąś inną, jest sprawą merytoryczną. Mógłby to być przypadek przeczący koncepcji wartości, jaką przedstawiłem, gdyby istniała przyjęta w etyce koncepcja prawdomówności oparta na innych założeniach dotyczących jej struktury niż te, jakie przedstawiłem (np. tak pojęta prawdomówność byłaby stosunkiem, a nie rodziną klas abstrakcji). Wymaganie zaś, by aksjolog rozstrzygał, co jest konkretną wartością etyczną, czy estetyczną, a co nie, równe jest żądaniu, by teoretyk literatury dekretował, czy konkretny utwór jest dramatem, zaś metodolog, czy określone twierdzenie naukowe jest prawem, czy nie²⁶. Tego więc typu zarzuty Z. Ziembys stają się dla mnie zrozumiałe tylko wówczas, jeśli przyjąć, iż akceptuje on założenie:

(VI) aksjologia jest złożona z etyki i estetyki, które zdaje mi się być fałszywe. Aksjologia dotyczy bardziej abstrakcyjnych cech wartości niż te, jakie są przedmiotem zainteresowania etyki czy estetyki — dotyczy tego, co wspólne wszelkim wartościom i wszelkim aktom wartościowania.

III

1. Przejdę obecnie do spraw bardziej szczegółowych, wybierając zarzuty ważniejsze, a dotąd nie omówione.

(1) Autor głosi, że nie podaję nic dla uzasadnienia założenia, iż wszelkie wartości są opozycyjne (s. 273). Nie jest to prawdą. Do założenia tego

²⁶ Jest to odpowiednik żądania, jakie pod adresem metodologii wysunął T. Batoń, *W sprawie zasad idealizacji i konkretyzacji. (Nota krytyczna o koncepcjach L. Nowaka)*, „Studia Filozoficzne” 1974, nr 9, s. 68. Por. repliki: J. Kmita, *Jak uprawiać metodologię nauk? (Uwagi metodologiczne w związku ze szkicem T. Batoń)*, „Studia Filozoficzne” 1975, nr 1, s. 85, L. Nowak, *O dalszych...*, op. cit., s. 99.

dołączony jest przypis, w którym cytuję opinię R. Ingardena dotyczącą przeciwieństw, jakie występują „w każdej dziedzinie wartości”. Nie jest to bynajmniej „odesłanie do autorytetu” — R. Ingarden został tam powołany jako autor, który analizował wiele konkretnych wartości etycznych i estetycznych, co doprowadziło go do sformułowania tej swego rodzaju generalizacji empirycznej. Nie widzę powodu, dla którego przy braku dostatecznie reprezentatywnych danych z zakresu socjologii moralności czy sztuki tego typu spostrzeżenia nie miałyby pełnić roli ewidencji empirycznej (co nie znaczy, rzecz jasna, iż ewidencja ta jest niepodważalna). Myślę zresztą, iż na dzisiejszym etapie rozwoju socjologii każdy uprawiający aksjologię odwołuje się do tego rodzaju wnikliwych spostrzeżeń etyków czy estetyków. Co najwyżej wybór osób może być różny w zależności od sympatii teoretycznych. Moje są związane z cytowanym przed chwilą autorem w znacznie większym stopniu niż z badaczami należącymi do „nurtu analitycznego”.

To samo dotyczy korzystania ze źródeł pozanaukowych — jak np. z literatury pięknej. Tam leży ewidencja dla założenia, które przyjmuje co do konfliktowości wszelkich funkcjonujących w praktyce systemów wartości; wszak właśnie konflikt wartości jest głównym motywem wielkiej literatury od czasów greckich. Nic nie poradzę na to, że socjologia empiryczna mówi nam do dziś nieporównanie mniej o tych sprawach (i dużo płycej przede wszystkim) niż literatura piękna.

(2) Z. Ziemia w komentarzu do pojęcia stanu rzeczy neutralnego aksjologicznie zarzuca mi, iż „brak tu stanowczości, czy w końcu tautologiczne i tylko te stany rzeczy należą do neutralnego przypadku danej wartości” (s. 274). W cytowanej przezeń uwadze mówi się, iż do przypadku tego należą stany tautologiczne, zaś z definicji pojęcia przypadku wartości wynika, iż należą tam wszystkie stany rzeczy, które są z tautologicznymi równocenne. Jakże zaś w konkretnych wartościach stany są neutralne (równocenne z tautologicznymi) — o co Z. Ziemia w paru miejscach uszczypliwie podpytuje, to kwestia analizy konkretnej wartości etycznej czy estetycznej. Nie widzę powodu, by narzucać etykowi np. werdykt, iż neutralny z punktu widzenia prawdomówności jest ten, kto wypowiada opinie zgodne z przeświadczeniami z częstością jednej trzeciej. W moich ustach, ponieważ nigdy się nie zajmowałem analizą żadnej konkretnej wartości, werdykt ten brzmiałby przecież całkiem arbitralnie. A dla ogólnej koncepcji wartości wystarczy mi całkowicie założenie, iż wszyscy dzielimy ludzi na takich, co są prawdomówni, na kłamliwych i na takich, o których trudno powiedzieć jedno i drugie. Ostatni to właśnie ci, których opinie (a dokładniej — akty ich wygłaszania) należą do neutralnego przypadku wartości „prawdomówność”. Jakimi zaś kryteriami zbiór ten można wyróżnić — nie wiem. I choć ciekaw

bym się dowiedzieć, nie jest to konieczne dla podtrzymania proponowanej w książce tezy o strukturze wartości. Na ten temat zresztą już mówiłem wyżej. Dodam więc jeszcze tylko, iż dalsze rozważania Z. Ziembry w omawianym fragmencie („Jeżeli do neutralnych aksjologicznie stanów rzeczy nie należą tautologiczne stany rzeczy, to w ogóle nie wiemy, co decyduje o ich neutralności. Wtedy nic nam nie powie podane przez autora określenie, że *d o b r e m* nazywać będzie” itd. — s. 274) należą do swoistego gatunku prozy naukowej, który można by nazwać idealizacją erystyczną — są to dywagacje na temat, co by autor głosił, gdyby napisał co innego, niż napisał. Nie jest dla mnie jasny sens poznawczy tych dociekań, choć w pełni rozumiem i doceniam ich sens perswazyjny.

(3) Analizując przykład na s. 278 autor zwraca uwagę na rzeczywistą trudność dla mojej koncepcji związaną z pewnymi wartościami estetycznymi. Oto istotnie wygląda tak, jak gdyby odpowiednie relacje preferencji („ze względu na liryzm” czy „ze względu na tragizm”) zachodziły między obiektami, a nie stanami rzeczy. Przypuszczam jednak, iż dałoby się podejść do sprawy tak, jak w przypadku wartości prawdomówności — relacja preferencji zachodzi między stanami rzeczy (aktami komunikowania opinii), ale można określić „odpowiednią” relacją zachodzącą pomiędzy osobami wchodzącymi w skład tych stanów rzeczy (podejmującymi owe akty). Podobnie za inne ukształtowania linii określa się rysunek jako liryczny, a za inne jako tragiczny. Odpowiednie relacje zachodzą tedy między stanami rzeczy występującymi na rysunkach. To, iż są to wartości konfliktowe, znaczyłoby, iż wystąpienie optymalne stanów rzeczy z jednej z tych wartości wyklucza wystąpienie w jakimś odpowiednio wysokim stopniu wartości drugiej — stany rzeczy z przypadków obu tych wartości zachodziłyby przy tym na tym samym obiekcie. Co do konstrukcji owej relacji „odpowiedniej”, to można byłoby do tego celu wykorzystać schemat podany w dyskutowanej pracy dla określenia stosunku między wielkością a wartością²⁷.

(4) Przyznaję słuszność zarzutowi Z. Ziembry, iż warunek istnienia relacji preferowania generalnego w definicji wartości jest pleonastyczny (s. 273). Trafna wydaje mi się również jego sugestia, iż „wystarczy powiedzieć, że wartością jest rodzina klas abstrakcji relacji *N* równocności w zbiorze *W* stanów rzeczy” (tamże).

(5) Nie byłbym taki pewien, że nie ma konfliktu pomiędzy wartościami „skuteczność leczenia”, „życzliwość dla chorego” (fakt, iż lekarze na ogół nie operują swych bliskich, jak i powiedzenie, że najlepiej leczy, kto nie współczuje choremu, świadczyłyby o czymś odmiennym). Nie to

²⁷ L. Nowak, *U podstaw...*, op. cit., s. 89—90.

jest jednak najważniejsze. Bardziej istotne jest to, że sugestia Z. Ziembby, iż „Istniałaby jakaś większa czy mniejsza «ważność» pewnych wartości, niezależnie od tego, czy są one konfliktowe” (s. 280) wydaje się zasługiwać na przemyślenie. Prowadziłaby ona do oddzielenia kwestii dominacji wartości i kwestii ich konfliktowości.

Skądinąd nie zgadzam się z poglądem Z. Ziembby, iż pojęcie dominacji musi koniecznie być zdefiniowane. Może bowiem być tak, i we wszystkich naukach niezaksjomatyzowanych tak bywa masowo, iż wprowadza się w pewnym punkcie rozbudowy aparatury pojęciowej nowe pojęcie pierwotne charakteryzując jego sens intuicyjnie i pokazując zastosowania na przykładach. Gdyby sytuacja taka miała, jak twierdzi autor, prowadzić do błędu *ignotum per ignotum*, byłoby to katastrofalne dla teorii definicji, która taką koncepcję owego błędu zakładałaby. Wystarczy wziąć podręcznik biologii czy ekonomii, by dostrzec stałe wprowadzanie intuicyjne nowych pojęć, które następnie służą do definiowania pojęć następnych. Żadna zaś koncepcja metodologiczna nie może sobie pozwolić na przypisywanie błędu powszechnej praktyce badawczej, podobnie jak koncepcja gramatyczna nie może orzekać błędności powszechnej praktyki lingwistycznej. W takich wypadkach błędna staje się koncepcja teoretyczna, nie praktyka.

(6) Z. Ziembba wykazał też, że relacja równorzędności generalnej, jak ją zdefiniowałem przy pomocy relacji dominacji, nie jest — wbrew temu, co utrzymywałem — przechodnia. (Zauważę tu jednak, iż pojęcie dominacji nie jest dla mego oponenta tak niejasne, jak utrzymuje, skoro potrafi je skutecznie wykorzystać w argumentacji przeciwko moim tezom...) Świadczy to o tym, iż relacja ta nie jest równoważnością, jak sądziłem, lecz relacją podobieństwa, system wartości byłby rodziną klas podobieństwa (a nie rodziną klas abstrakcji)²⁸.

(7) W dyskusji nad fenomenalizmem językowym autor krytykował moje metaforyczne sformułowanie, nie podejmując rzeczowej dyskusji nad tezami, dla których jest ono metaforą (s. 284). Niewiele trzeba wiedzieć o naturze metafory, by zdać sobie sprawę, iż nie ma dla niezyczliwego krytyka większej uciechy, jak możliwość potraktowania metafory dosłownie. Dlatego fakt, iż argumentuje on poważnie przeciwko metaforom, a ironizuje na temat argumentów, jakie przytaczam, jest dla mnie dowodem nierzetelności jego krytyki w tym miejscu. Nie jedynym zresztą, jak widać z tego, o czym do tej pory była mowa.

(8) Z. Ziembba stwierdza, iż — wbrew moim własnym postulatom — — propozycja dotycząca zasad odpowiedzialności za czyny nie wykacza poza świadomość potoczną (s. 287). Nie sądzę, aby było to prawdą.

²⁸ O relacji i klasie podobieństwa por. Z. Augustynek, *Natura czasu*, Warszawa 1975, s. 227 i n.

Z. Ziembą, jak się zdaje, uznał, iż rekonstrukcja owych prawniczych zasad zawinienia jest jeno usystematyzowaniem tego, co prawnicy i tak wiedzą (a co jest zarazem wiadome potocznej świadomości moralnej). Tymczasem rekonstrukcja ta jest związana z włączeniem prawniczego pojęcia czynu w obręb koncepcji działania racjonalnego, o której już wspomniałem w tej wypowiedzi, co prowadzi do konsekwencji przez Z. Ziembę nie zauważonych, a dalece, sądzę, nie znanych świadomości potocznej. Przede wszystkim pokazanie, iż prawnicze pojęcie czynu jest praktyką (a to pojęcie jest zdefiniowane przy pomocy pojęcia działania racjonalnego), prowadzi do odrzucenia psychologizmu (w sensie tradycyjnej psychologii introspekcyjnej), jaki sami prawnicy wyznają²⁹. Nie jest to więc koncepcja systematyzująca to, co świadomość potoczna i tak wie, lecz zrewidowanie istotnego składnika tej świadomości — pokazuje się, iż prawnicy co innego zakładają w praktyce, a co innego głoszą *explicite*. Taka rozbieżność z zasady nie może być przez nich uświadomiona. Można też pokazać, iż kryteria zawinienia obowiązują przy określonej hierarchii założeń upraszczających, dotyczących charakteru wiedzy podmiotu działania³⁰; nie sądzę, by było to wiadome świadomości potocznej. A w takim razie nie jest prawdą, że jedyną różnicą pomiędzy cytowanymi przez autora sformułowaniami M. Ossowskiej a moim ujęciem było to tylko, iż stosuję słowo „praktyka” (s. 287 tekstu Z. Ziembę). Stosuję bowiem nie tylko słowo, ale i pojęcie praktyki, które zakłada pojęcie działania racjonalnego, to zaś wprowadzone jest na gruncie pewnych założeń teoretycznych, które — o ile mi wiadomo — nie występują w koncepcji M. Ossowskiej. Trafność tych założeń, ich stosowalność w takiej czy innej dziedzinie (np. w zakresie prawniczych kryteriów zawinienia) itd. — to są wszystko sprawy do dyskusji, w której moc wiążącą mają tylko argumenty rzeczowe. Dyskusja taka zakładać jednak musi postawę krytyka na tyle otwartą, by w ogóle był on w stanie dostrzec założenia teoretyczne, jakie przyjmuje oponent.

2. Poza dyskutowanymi wyżej zarzutami szczegółowymi, które wydają mi się ważniejsze, autor stawia wiele zarzutów drobnej natury. Ponieważ nie chciałbym przedłużać polemiki i omawiać tych zarzutów dokładniej, przeto powstrzymam się od wyrażenia globalnej opinii na temat tych uwag³¹ i wymienię te tylko, którym zmuszony jestem przyznać słusność:

²⁹ Szerzej o tych sprawach — wychodząc z tych samych kryteriów prawniczych — pisałem w artykule: *Założenia prawniczego pojęcia czynu*, „Prakseologia” 1974, nr 2, s. 129 i n.

³⁰ *Ibid.*, s. 132.

³¹ O jednej sprawie chciałbym wszakże wspomnieć: oto autor oznajmia surowo: „Nieporządek panuje w określeniu relacji nazwanej dominacją generalną [...] W tym określeniu nie ma relatywizacji do klasy stanów rzeczy. Natomiast uwzględnia się ją przy określaniu generalnej równorzędności” (s. 282). Różnica

a) trafnie spostrzega autor, iż warunek przechodniości nałożony na relację równocЕННОści N w gruncie rzeczy charakteryzuje dodatkowo relację preferencji P (s. 272);

b) istotnie, w warunku spójności brak zastrzeżenia, iż idzie o różne klasy abstrakcji (s. 272—273);

c) rzeczywiście, sformułowanie ze s. 62 mej książki głoszące, iż zróżnicowanie klasowe³² jest zarazem wartością i złem, jest niekonsekwencją w świetle moich definicji;

d) słusznie zwraca uwagę, iż nie jest wyjaśnione, czy stan rzeczy jest faktem, czy też idzie o stany możliwe (s. 277); wprawdzie z kontekstu pracy wynika, iż idzie o tę drugą ewentualność (np. piszę o stanach rzeczy przewidywanych przez wiedzę fałszywą³³), ale oponent mój ma rację powiadając, iż winno to być gdzieś napisane.

IV

1. Warto na zakończenie przyjrzeć się podstawowemu założeniu Z. Ziembę:

(Z) tekst winien być jasny.

Przykro mi to stwierdzić, ale jednak muszę: nie znam bardziej mętnego pojęcia w filozofii pozytywistycznej niż pojęcie jasności. Jest to tym bardziej szokujące, iż postulat jasności jest naczelnym bodaj z wymogów, jakie filozofia ta stawia, a nie doczekał się, o ile mi wiadomo, żadnej dokładniejszej analizy. Nie wiadomo tedy, co znaczy „jasny”, nie wiadomo, jakie są kryteria jasności, nieznane są zatem podstawy teoretyczne, w oparciu o które chwali się jedne teksty jako jasne, a gani inne jako mętne. Gdybym tedy chciał naśladować mego oponenta w metodzie polemiki, mógłbym zawołać wielkim głosem, że wbrew pozorom nie ceni sobie ścisłości, skoro podstawowy, wielokrotnie powtarzany jego zarzut pod moim adresem jest całkowicie niesprecyzowany, że na każdej

wszakże w definicjach tych bierze się stąd, iż Z. Ziembę, który wniósł z erraty poprawkę do definicji równorzędności generalnej (por. cytowane przezeń sformułowanie mojej definicji), zapomniał ją wnieść do definicji dominacji generalnej umieszczonej dwa wiersze wyżej. Byłbym nielojalny wobec mego polemisty, gdybym nie dodał, iż jest to najbardziej jaskrawy wypadek nierzetelności w stawianiu owych drobnych zarzutów, o których mowa aktualnie. Ale nie jedyny. W razie potrzeby gotów jestem to wykazać.

³² Autor miałby mniej kłopotów z ułożeniem stanów społeczeństwa polegających na zróżnicowaniu klasowym w rodzinę klas abstrakcji, gdyby pamiętał o tym, że wedle teorii społecznej, którą zakładam, wszelkie typy społeczeństwa poprzedzielane są formami pośrednimi. Nb. autor w wielu miejscach znakomicie radzi sobie z wprowadzonym przeze mnie aparatem pojęciowym, nieraz ze dwie strony potrafi przemawiać we wprowadzonym w dyskutowanej książce języku (w celach zresztą krytycznych, do czego ma pełne prawo). Czyżby doprawdy było to możliwe, gdyby go nie rozumiał, jak o tym zapewnia? Autor, jak wielu ludzi o bliskiej mu orientacji filozoficznej, zdaje się nie pojmować, iż w tezie: „to jest mętne i fałszywe” jest o jeden zarzut za wiele.

³³ L. Nowak, *U podstaw...*, op. cit., s. 71.

bodaj stronie swej polemiki każe mi się domyślać, o co naprawdę chodzi, że wobec tego winna ona być niemal w całości opracowana na nowo itd., itp.

Dajmy jednak pokój dziecinadom. Można, oczywiście, stosować pojęcie jasności w oparciu o intuicyjne jego rozumienie, bo — wbrew Z. Ziembie — bardzo wiele ważnych pojęć na takiej tylko podstawie się stosuje. Dobrze jest jednak nie stosować tego pojęcia li tylko w sensie perswazyjnym, ale poświęcić mu uprzednio choć odrobinę refleksji. Refleksja w tym kontekście zasadnicza jest taka, iż pojęcie jasności musi być zrelatywizowane. Choćby było to nie wiadomo jak wygodne dla „ustawiaczy”, trzeba sobie uświadomić, iż koncepcja jest jasna albo mętna tylko na gruncie określonych założeń. Nie dziwię się oznajmieniom Reichenbacha, iż heglizm jest mętniactwem. Istotnie, jest nim, lecz na gruncie założeń pozytywistycznych. Z czego wnioski negatywne wynikają, ale — moim zdaniem — tylko dla pozytywizmu.

Jeśli jest tak, iż do oceny pewnej koncepcji przystępuje ktoś o założeniach odmiennych niż te, jakie leżą u jej podstaw, wówczas sytuacja może być dwojaka. Albo w toku krytyki zacznie on uświadamiać sobie swoje własne założenia i rozumieć, że krytykowany autor zmierza w całkiem innym kierunku, w związku z czym skieruje ostrze krytyki właśnie przeciwko owym podstawowym założeniom autora, albo też pozostanie przy zdrowym przekonaniu, iż sam żadnych założeń nie przyjmuje. W tym drugim przypadku korzyść z krytyki może być tylko częściowa — koncepcja pozostanie dla krytyka niezrozumiała, będzie jawić mu się jako nagromadzenie dziwactw, absurdów, a przede wszystkim mętniactwa.

Dyskutowana tu książka o aksjologii opiera się na określonych założeniach filozoficznych i metodologicznych, z których podstawowe są radykalnie niezgodne z założeniami (I) — (VI), jakie leżą u podstaw polemiki Zdzisława Ziembę. Ponieważ zaś — jak to widać z tonu polemiki — nie dopuszcza on myśli, by ktoś mógł sensownie założenia te odrzucać, przeto interpretował mój tekst na gruncie swych założeń. Nie dziwota, iż wydał mu się on mętny. Bo na gruncie tych założeń jest on mętny rzeczywiście. Rzecz w tym, iż pisany był na gruncie założeń całkiem odmiennych. Nie mnie sądzić, czy jest on na gruncie tych właściwych mu założeń jasny, czy mętny. Ale i nie Z. Ziembie, skoro założeń tych w ogóle nie zauważa.

2. W podsumowaniu Z. Ziembę stwierdza, iż marksistowska aksjologia nadal czeka na swego autora. Ja zaś życzę temu przyszłemu autorowi alternatywnej próby rekonstrukcji aksjologii marksistowskiej, aby napotkał na polemistę równie jak mój oponent wnikliwego, lecz o większej kulturze filozoficznej. A także ogólnej.